

Polskie Archiwum X

Piotr Litka
Bogdan Michalec
Mariusz Nowak

**Polskie
Archiwum X**



MANDO

© Wydawnictwo WAM, 2016
© Piotr Litka, Bogdan Michalec, Mariusz Nowak, 2016

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek
Redakcja: Małgorzata Fugiel-Kuźmińska
Korekta: Katarzyna Onderka, Dariusz Godoś
Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Skład: Lucyna Sterczewska

Fot. na okładce: Grzegorz Kozakiewicz
Fotografie w tekście: Waldemar Piekarski, Piotr Litka,
materiały z archiwów sądowych, Instytutu Ekspertyz Sądowych
im. prof. dra Jana Sehna w Krakowie
oraz archiwum „Tygodnika Podhalańskiego”
Wykorzystane grafiki: © Billy Alexander/freemimages, © Cherub

ISBN 978-83-277-0953-0

Wydanie drugie, 2018

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

druk: Read Me • Łódź

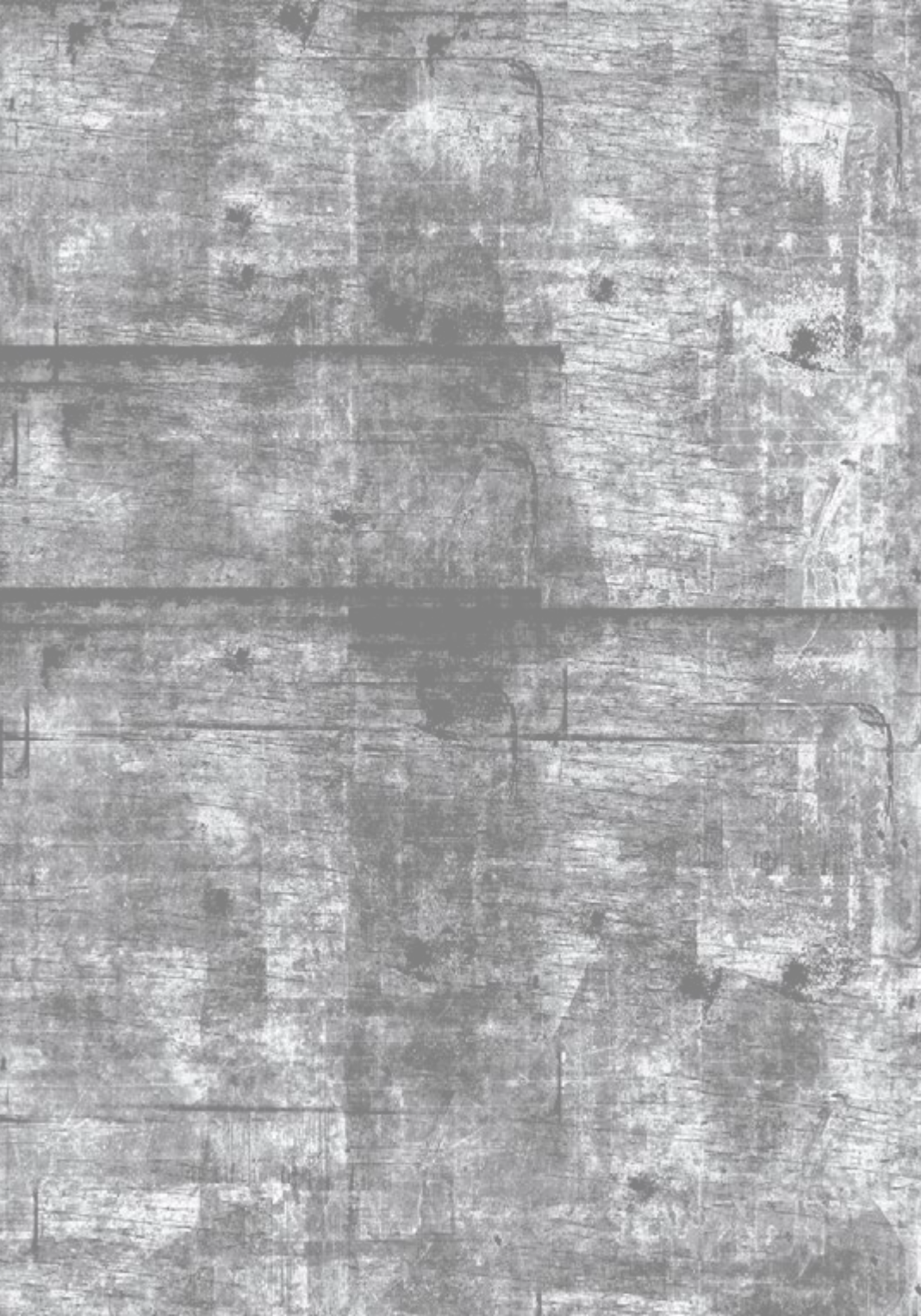
Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g wol. 2.0
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Najdłużej bola nerwy pamięci
i nerwy zdziwienia.

Anna Kamińska, *Modlitwa wieczorna*



Początek



23 stycznia 2004 roku powstaje w Krakowie policyjne „Archiwum X”. To pierwsza tego typu jednostka w Polsce i jedyna wówczas w Europie. Oficjalnie zespół nazywa się: Grupa Operacyjno-Śledcza KWP w Krakowie do spraw niewykrytych zabójstw o nazwie „Archiwum X”. Głównym zadaniem grupy staje się wskazywanie i wykrywanie „ciemnej liczby zabójstw”. W tej kategorii mieszczą się zgony uznane za zaginięcia, utonięcia, samobójstwa lub nieszczęśliwe wypadki, sprawy odłożone na półkę w policyjnym archiwum z adnotacją: niewykrycie sprawcy, czy po prostu z niewłaściwą kwalifikacją czynu. Poza statystykami śladem „ciemnej liczby zabójstw” pozostają tomy akt poszukiwawczych lub umorzonych przed laty śledztw. To często tylko kilka wytartych, zapisanych ręcznie lub na maszynie kartek formularza z czarno-białym, wyblakłym zdjęciem osoby zaginionej lub zmarłej w niewyjaśnionych okolicznościach.

Początkowo krakowskie „Archiwum X” jest nieformalną grupą funkcjonariuszy, a poligonem jej działań – poza sprawami powiększającymi statystyki „ciemnej liczby zabójstw” – są bieżące śledztwa. Wykrycie sprawcy zabójstwa zajmuje krakowskim policjantom czasami tygodnie, czasami miesiące, ale zdarzają się też sprawy niezakończone do dziś. W toku kolejnych śledztw między 1999 a 2004 rokiem grupa „Archiwum X” krzepnie, ustala się jej

skład i system pracy. W znakomicie funkcjonującym zespole – jak wspominają po latach jego członkowie – policjanci porozumiewają się bez słów. Stąd wyniki wykrywcze grupy, spektakularne zatrzymania i prawomocne wyroki.

„Archiwum X” nigdy nie było wydziałem, policjanci z grupy nie byli też w żaden sposób utajnieni w strukturach małopolskiej policji. Ich pokoje znajdowały się (i znajdują do dziś) w Komendzie Wojewódzkiej Policji przy ulicy Mogilskiej w Krakowie.

Nazwy „Archiwum X” używali dziennikarze jeszcze przed oficjalnym powołaniem grupy, nie wiadomo jednak, kto zrobił to pierwszy. Skojarzenie ze słynnym amerykańskim serialem nasuwało się samo. Przyjęło się, choć policjanci z grupy nie zajmowali się niczym tajemniczym, tylko wertowali akta spraw niewyjaśnionych zgonów. Tyle że od roku 2004 były to sprawy coraz starsze.

Bohaterami książki są dwaj policjanci i przyjaciele. Bogdan, obecny szef „Archiwum X”, i Mariusz, który pracował w pierwszym składzie zespołu i go współtworzył.

– Podobało mi się, że to nie był rozkaz z centrali, od jakiegoś naczelnika czy komendanta – wspomina Bogdan – tylko inicjatywa wyszła od nas, policjantów.

– Później pomyśl i tak został formalnie klepnięty przez komendanta – dodaje Mariusz. – I tak powstało „Archiwum X”.

Grupe stworzyli ludzie, którzy znali się i ufali sobie od lat. Mariusz i Bogdan wcześniej pracowali razem w sekcji operacyjno-dochodzeniowej IV Komisariatu Policji Kraków-Borek Fałęcki. W połowie lat dziewięćdziesiątych obejmował on terytorialnie prawie jedną czwartą Krakowa. Bogdan zaczął służbę w policji w kwietniu 1991 roku, Mariusz w lutym 1996 roku.

Bogdan zaczynał pracę w policji jako sierżant. Wcześniej służył w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej Wojska Polskiego. Grał na gitarze basowej w wojskowym Amatorskim Zespole Estradowym „Czasza”, ale też w zespole Belgrad grającym muzykę w klimatach Joy Division. Przez krótki czas przed wojskiem pracował w energetyce. Mariusz zaczynał w policji jako posterunkowy. Studiował nauki społeczne, później skończył kilkumiesięczny kurs przygotowawczy w szkole policyjnej w Szczytnie.

W latach dziewięćdziesiątych funkcjonowała w policji niepisana zasada, że policjant z doświadczeniem uczył młodszego, który dopiero trafiał w szeregi funkcjonariuszy. Tak Mariusz trafił do zespołu kierowanego przez Bogdana.

– Byłem wtedy nieopierzony, zaraz po szkole w Szczytnie – wspomina Mariusz. – Z czasem zrozumiałem, że każda sprawa jest inna. I każda sprawa jest ważna, niezależnie od tego, kto przychodził i jakiego rodzaju przestępstwo zgłaszał. Mogła to być nawet kradzież z piwnicy.

– Pamiętam swoje początki – wtrąca Bogdan. – W IV komisariacie nikt nie traktował mnie inaczej tylko dlatego, że byłem nowy i niedoświadczony. Jak czegoś nie umiałem, to któryś ze starszych kolegów zostawał po godzinach, żeby mi to wytłumaczyć czy pomóc w napisaniu jakiegoś dokumentu. Podczas naszej pierwszej rozmowy przełożony spytał mnie: „Pan z desantu?”. Odpowiedziałem: „Tak”. On: „To dobrze. Albo się pan utopisz, albo będziesz pan pływał”. Dał mi do ręki kodeks karny i zapowiedział, że za trzy dni będzie mnie z niego odpytywał. Czytając wtedy kodeks, doszedłem do wniosku, że fundamentalne pytania, te o naturę człowieka i nieustanną obecność zła, potraktowano tam językiem drewnianym, barbarzyńskim. Zastanawiałem się, jak można rozumieć prawo napisane w tak nieprzystępny sposób. I mówię tu nie o sobie, ale o zwykłym Kowalskim. Z takim zderzeniem kodeksu i życia mieliśmy do czynienia nie tylko na początku naszej policyjnej pracy, ale mamy też i teraz.

– Okazało się, że pierwsza linia frontu, czyli to, co działa się codziennie na komisariacie, i teoria, której uczą w szkole policyjnej, to dwa różne światy – mówi Mariusz. – W szkole, kiedy podejmujesz decyzję, to jeśli jest zła, kończy się to co najwyżej reprimendą ze strony prowadzącego zajęcia. W życiu, jeżeli się pomylisz albo zlekceważysz coś ważnego, może się to skończyć tragicznie.

– Kiedy trafiłem do IV komisariatu, zetknąłem się też z formacją etyczno-moralną, która obecnie w policji zanika – dodaje Bogdan. – Nasz komendant na przykład sam prowadził odprawy i bardzo często, mimo kierowniczego stanowiska, brał udział w śledztwach. Dużo się od niego nauczyłem.

Mariusz z Bogdanem stworzyli w IV komisariacie zespół, choć różnili się charakterami. Bogdan to żywiołowy ekstrawertyk. Mariusz – sceptyczny racjonalista, który dopóki czegoś nie dotknie, nie uwierzy. Przydzielano im najczęściej pospolite kradzieże, włamania, napady i rozboje. Jeździli też do samobójstw i odnalezionych przypadkowo zwłok. To był ich policyjny elementarz. W tamtych czasach jeszcze nie prowadzili śledztw w sprawach o zabójstwa. Bogdan i Mariusz zgodnie podkreślają, że wtedy nauczyli się, że policjant operacyjny musi mieć przede wszystkim dobry kontakt z ludźmi, niezależnie od tego, czy ma do czynienia z podejrzanymi, czy poszkodowanymi.

– Chodzi o to – mówi Mariusz – by nie traktować człowieka jak petenta: urzędowo i statystycznie.

– Dlatego tak dużo obydwaj zawdzięczamy ówczesnemu komendantowi komisariatu w Borcu Fałęckim, nadkomisarzowi Janowi Duśko – dodaje Bogdan. – To był bardzo doświadczony funkcjonariusz, „wyga policyjny”, który umiejętnie nami kierował i dawał przykład swoim zachowaniem. Był jeszcze inspektor Andrzej Sumlet, wtedy nasz

naczelnik, który uczył nas kreatywnego myślenia i panowania nad śledztwem.

Bogdan pamięta, że podczas pierwszych dwóch tygodni pracy w IV komisariacie miał postawić zarzut pierwszemu w swojej policyjnej karierze podejrzanemu.

– Powiedziałem komendantowi, że jestem już na to gotowy – wspomina. – Pamiętam, że byłem sam na dyżurze, a podejrzany miał przyjść na komisariat po południu. Nie było wtedy nikogo starszego, więc przejrzałem wzór przedstawienia zarzutów oraz pouczenia, które znalazłem na jakimś biurku, i zadowolony z siebie czekałem na podejrzanego. Kiedy przyszedł, zapytałem go: „Przyznaje się pan?”. „Nie przyznaję się”, odpowiedział. Popatrzyłem wtedy na wzór. W opisanym na kartce przypadku podejrzany od razu się przyznawał. A ja uświadamiam sobie, że kompletnie nie jestem przygotowany na odwrotną sytuację. On to oczywiście zauważył i pyta mnie: „Proszę pana, jeśli ja się nie przyznaję, to wszystko będzie dłużej trwało?”. Mówię: „No tak”. On: „To ja nie mam czasu, ja się przyznaję i kończmy to szybko”. Dzisiaj śmieję się z tamtej sytuacji i choć nie lubię procedur, to wiem, że bez nich praca policji byłaby niemożliwa. Procedury to forma, którą wypełniamy treścią. Teraz większość policjantów działa albo procesowo, albo operacyjnie. Działania jawne, czyli procesowe, my nazywamy często „prawą nogą”. Działania operacyjne, czyli po naszymu „lewa

noga”, to nowe źródła dowodowe, często działania niejawne. My w latach dziewięćdziesiątych działaliśmy i operacyjnie, i procesowo. Nie rozdzielaliśmy tych dwóch rzeczy. Tak zresztą później pracowaliśmy w „Archiwum X”.

– Bogdan był wtedy jednym z liderów komisariatu, jeśli chodzi o wykrywalność – wtrąca Mariusz. – W okolicy było dużo blokowisk, a więc i osiedlowa przestępczość. Głównie kradzieże, ale coraz częściej zdarzały się też narkotyki, pobicia, rozboje. Wtedy zaczynały też powstawać gangi kibiców. Bogdan miał osiedlowych bandytów rozpracowanych tak dokładnie, że prawie zawsze wiedział, do kogo trzeba jechać, by znaleźć sprawcę. Wiedzieliśmy z grubsza, co kto robił, z kim kradł, do kogo nosił fanty i od kogo odbierał towar, by go rozprawić po dzielnicy.

– Mariusz oczywiście przesadza – śmieje się Bogdan. – Rzeczywiście było tak, że znałem osiedlowe środowiska, w których najczęściej dochodziło do drobnych przestępstw. To wynikało ze stażu, poza tym nasz komisariat znajdował się właśnie w rejonie blokowisk. Często chodziłem na te osiedla, rozmawiałem z ludźmi, poznawałem teren. Teraz komisariaty są przenoszone w okolice centrum, jest ich mało, a policjanci najczęściej nie znają środowisk przestępczych tak, jak myśmy je znali w latach dziewięćdziesiątych. Ta znajomość ułatwiała typowanie podejrzanych. Poza tym nam nie chodziło

wtedy o podbijanie statystyk policyjnych, tylko o wykrycie sprawcy i zamknięcie sprawy.

– Kiedy zaczynałem pracę w policji – dodaje Mariusz – nie było „parcia na wynik” i tego wszystkiego, z czym zetknąłem się wiele lat później. Zawiści, spełniania zawodowych ambicji kosztem kolegów.

– To była inna mentalność – mówi Bogdan. – I inne warunki pracy. Może właśnie dlatego powstała moja, przez wiele lat potem rozwijana, teoria procesu wykrywczego, którą później stosowaliśmy w „Archiwum X”. Chodzi o to, że każdy sprawca po popełnieniu przestępstwa zaczyna proces „roztaczania iluzji”. Stara się przekonać otoczenie, czyli też prowadzących śledztwo, że to nie on jest sprawcą. W zależności od jego inteligencji, dostępnych dowodów, czasami w wyniku przypadku, ten proces może doprowadzić do zwrócenia podejrzeń w kierunku innej osoby lub do umorzenia sprawy. Dlatego policjant musi bardzo dokładnie odtworzyć sposób myślenia i postępowania sprawcy po popełnieniu przestępstwa, który często wydaje się niezrozumiały i pozbawiony logiki. Kiedy uda się już ten proces myślowy do pewnego stopnia odtworzyć, może powstać analiza kryminalistyczna. Po zapoznaniu się z nią prokurator decyduje o dalszym biegu sprawy.

– Każda sprawa jest inna – dodaje Mariusz. – Nie da się przyłożyć do konkretnego przypadku gotowego schematu, wrzucić materiału do komputera i otrzymać wyniku. Tak zdarza się tylko w filmach.

To specyficzne, niepasujące do schematu elementy zawarte w analizie decydują często o wykryciu sprawcy.

Wiosną 1998 roku Bogdan otrzymał propozycję przejścia do Wydziału Zabójstw w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Przyjął ją. Teraz musiał mierzyć się ze sprawami zupełnie innej rangi. Trudniejszymi, wymagającymi więcej czasu, przestępstwami zagrożonymi większą karą pozbawienia wolności. Mariusz przeszedł do tego wydziału później, w styczniu 1999 roku. To były nieformalne początki krakowskiego „Archiwum X”, jeszcze przed jego oficjalnym utworzeniem.

– Zostałem delegowany do zespołu w komendzie wojewódzkiej powstałego wokół sprawy wyłowionej z Wisły kobiecej skóry – wspomina Mariusz. – I już tam zostałem.

To była pierwsza sprawa, którą zajął się zespół jeszcze nieformalnego „Archiwum X”. Sprawa do dzisiaj nierozwiązana.

– Bez sprawy skóry nie byłoby „Archiwum X” – mówi Bogdan. – Miałem już wtedy doświadczenie, jeździłem „na zabójstwa”, prowadziłem procesy wykrywcze, ale to śledztwo uświadomiło mi, że wiem, że nic nie wiem.

Kiedy działalność „Archiwum X” została sformalizowana, z krakowskimi policjantami współpracowała już cała armia ludzi spoza komendy.

– To byli ideowcy – wspomina Bogdan. – Ludzie, którzy wspierali nas swoją wiedzą i doświadczeniem. Pamiętam, że kiedy jeździliśmy na realizację, to chodnik przed komendą wojewódzką był zastawiony samochodami: a to Służby Celnej, a to naukowców z krakowskiego AGH, specjalistów od georadaru, pletwonurków... Od początku postawiliśmy na współpracę z naukowcami. Ale są – jak ich nazywam: naukawcy i naukowcy. Są badacze, którzy mają tytuły naukowe, stanowiska, dobre pensje i rozgłos, ale wpadli w uczelniane tryby i zależy im tylko na karierze. Są jednak też pasjonaci i to dzięki nim odkrywaliśmy rzeczy z pozoru nie do odkrycia, a prowadzone przez nas śledztwa znajdowały pozytywne zakończenie.

Porównując sprawy sprzed lat i te współczesne, policjanci z krakowskiego „Archiwum X” stwierdzają, że w zbrodni przez wieki zmieniła się tylko technika, ale motywacje zabójców pozostają te same. To wciąż chciwość, strach, żądza dominacji, pycha i poczucie bezkarności. Bogdan nazywa je „złymi emocjami”, które eksplodują podczas „złego czynu”, czyli zbrodni.

– Problemem policji – mówi Bogdan – jest dziś poziom edukacji sprawców. Ich wiedza prawnicza, a w niektórych przypadkach również kryminalistyczna, jest zdecydowanie na wyższym poziomie niż kiedyś. Sprawca przed laty przechodził przyspieszony kurs prawa dopiero za kratami, dziś ma

choćby internet, filmy, blogi, książki. Wie, jakie przysługują mu prawa, zna mniej więcej teorię i praktykę pozyskiwania dowodów. Może uniknąć wielu błędów. A policja ma o wiele trudniejsze zadanie.

– Ale nowoczesna technika działa też na korzyść policji – dodaje Mariusz. – Przecież w wielu sprawach z „Archiwum X” decydujące okazywały się dowody, takie jak billingi telefoniczne czy wyniki badań DNA. Takich dowodów nawet najlepiej wyedukowany sprawca nie był w stanie podważyć.

– Ale w naszej pracy poza dowodami materialnymi ważny jest też zapał, wiara w zwycięstwo i walka do końca – kontynuuje Bogdan. – Wierzymy, że najważniejszym sposobem poznawania rzeczywistości jest intuicja, potem doświadczenie życiowe, a na końcu wiedza. W naszych czasach najważniejsze stało się „szkiełko i oko”, czyli wiedza książkowa, która często jest kompletnie bezużyteczna, a nawet może wprowadzać w błąd. Między wiedzą a mądrością jest olbrzymia przepaść. W rozwiązywaniu spraw niewyjaśnionych zabójstw sprzed lat przeszkadzała i nadal przeszkadza nam ta bezużyteczna, oparta na schematach wiedza kultywowana przez różnych „uczonych w piśmie i prawie”. Dla mnie najważniejsze to postawić sobie kilka prostych pytań. Kto skorzystał na zbrodni, kto może być sprawcą? Jakich śladów i dowodów szukać? Należy unikać schematów i łatwych odpowiedzi, indywidualnie podchodzić

do sprawy, do sprawcy i do dowodów. Tylko tyle i aż tyle. Antoni Kępiński¹ zauważył na przykład, że jeśli ktoś płacze na czyimś pogrzebie, to wcale nie musi oznaczać, że rozpacza z powodu śmierci tej osoby. Może na przykład zmarły był mu winien pieniądze, których już nigdy nie odda. Często kluczowe okazywały się zmiany w zachowaniu sprawcy po popełnieniu zbrodni: zmiana w codziennych rytuałach, w wyglądzie zewnętrznym, popadnięcie w nałogi, najczęściej w alkoholizm, nagłe wydatki, zmiana stosunku do ofiary. Okazywało się, że te z pozoru nieistotne sprawy mają olbrzymie znaczenie.

W śledztwach prowadzonych przez „Archiwum X” policjanci musieli też mierzyć się chociażby ze statystykami.

– W Polsce w więzieniach przebywa mniej kobiet niż mężczyzn – stwierdza Bogdan. – Co wcale nie oznacza, że kobiety popełniają mniej przestępstw. Może dzieje się tak dlatego, że sędziowie generalnie wydają łagodniejsze wyroki w sprawach, w których oskarżone są kobiety. Dla mężczyzn sądy w Polsce są surowsze i pewnie w najbliższej przyszłości to się nie zmieni. Ale może to wynikać też z faktu, że często kobiety są sprawcami kierowniczymi i wykorzystują mężczyzn jako narzędzia.

Dla policjantów z „Archiwum X” wszystko kręci się wokół pracy, nawet ich osobiste pasje. Pasją Bogdana jest muzyka, której nigdy nie porzucił i której – jak





**Kości
z Tarnowa**

I



Ulica Nowy Świat w Tarnowie nie przypomina tej w stolicy. Nie da się szybko jechać drogą pełną pozalepianych naprędce dziur i zaparkowanych na krawężniku samochodów. Kolorowe szyldy i reklamy pojawiły się w tej okolicy stosunkowo niedawno. Obok solidnych budynków urzędów straszą odrapane kamienice, zaniedbane drewniane domy i klecone w peerelowskiej biedzie parterowe domki z ogródkiem. Sklepiki kuszą cenami dnia, promocjami i okazjami. Metalowe bramy i ceglane mury chronią przed ciekawością sąsiadów. Na murze lekko zatarty napis w języku niemieckim przypomina o ludziach, którzy mieszkali tu przed laty. W dzień jest ruch, w nocy robi się spokojniej, choć wizyta obcego wzbudza zainteresowanie. Miejscowi mówią, że w okolicy jest bezpieczniej niż kiedyś.

Tam gdzie znaleziono zwłoki, nie ma krzyża ani tablicy.

Był piątek, 4 czerwca 1999 roku.

Siostra Joanna, przełożona zgromadzenia, którego siedziba znajduje się w tym miejscu do dzisiaj, zadzwoniła na policję z szokującą informacją. Robotnicy pracujący przy naprawie ogrodzenia znaleźli przy parkanie od strony ulicy Nowy Świat ludzkie kości. Sporządzona po oględzinach policyjna notatka zawierała jeszcze kilka szczegółów: za płotem leżała czaszka pozbawiona żuchwy i fragmenty kości,

znaleziono też kawałki przegniłego materiału. Bardzo płytko, na głębokości dziesięciu centymetrów, natrafiono na ludzkie kości.

Prowadząca śledztwo prokuratura przesłała szczątki do Krakowa, do Zakładu Medycyny Sądowej. Według biegłych tworzyły one prawie kompletny szkielet kobiety, który mógł przeleżeć w ziemi co najmniej kilka lat. Charakterystyczna drucziana pętla na prawym obojczyku wskazywała na zabieg chirurgiczny.

Policjanci z Tarnowa przesłuchali siostrę Joannę, która przypomniała sobie kilka szczegółów. W sadzie, który graniczył z drewnianym parkanem, gdzie znaleziono szczątki, często miały miejsce libacje alkoholowe. Siostry nie przepędzały pijącego towarzystwa, bo nie dochodziło do awantur. Parę lat wcześniej zwróciły uwagę na fetor, który zaczął dochodzić od strony sadu. Myślały, że może padło tam jakieś zwierzę, co już się wcześniej zdarzało, i nie szukały źródła smrodu.

Prowadzący śledztwo sprawdzili listę zaginięć z terenu Tarnowa i okolic z kilku ostatnich lat. Jednemu przypadkowi postanowili przyjrzeć się bliżej. 9 października 1995 roku wpłynęło rutynowe zawiadomienie o zaginięciu trzydziestoletniej Justyny B., mieszkanki Tarnowa. Kobieta wyszła z domu 2 października 1995 roku między godziną osiemnastą a dziewiętnastą. Miała wówczas powiedzieć, że idzie do sklepu po zakupy. Nigdy nie wróciła.

Zakład Medycyny Sądowej w Krakowie zasugerował Prokuraturze Rejonowej w Tarnowie wykonanie dodatkowych badań identyfikacyjnych odnalezionych kości poprzez porównanie rentgena zatok obocznych nosa (tzw. czołowych) znalezionej czaszki ze zdjęciami rentgenowskimi czaszki Justyny B. Według doktora Adama Grossa z krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej ukształtowanie tych zatok jest indywidualne dla każdego człowieka. Porównanie byłoby możliwe, gdyby udało się odnaleźć takie zdjęcia w którymś ze szpitalnych archiwów. Okazało się jednak, że szpitale przechowują zdjęcia rentgenowskie tylko przez pięć lat i tych zrobionych Justynie B. w żadnym ze szpitali nie ma.

To, że kości odkopane przy parkanie to rzeczywiście szczątki Justyny B., można było potwierdzić tylko w jeden sposób: poprzez badanie DNA. Pobrano próbki od dzieci zaginionej. Badanie wykonano w Instytucie Ekspertyz Sądowych w Krakowie. W opinii specjalistów czytamy: „nie można wykluczyć, że Żaneta S. i Norbert P., których próbki krwi poddano badaniom w charakterze materiału porównawczego, są krewnymi w linii matczynej osoby, której szczątki poddano analizie”.

Tarnowscy policjanci ponownie sprawdzili dokumentację szpitalną. Okazało się, że przez prawie dwadzieścia lat Justyna B. leczyła się w Tarnowie, ale zabieg łączenia stawu barkowego wykonano jej w szpitalu w Dąbrowie Tarnowskiej. Pacjentka

twierdziła wtedy, że została potrącona przez samochód. W dokumentacji medycznej znaleziono także informację, że w trakcie zabiegu chirurgicznego prawy staw obojczykowo-barkowy nastawiono i połączono pętlą z wyrostkiem barkowym. Do zabiegu użyto tak zwanego drutu Kirschnera. Taką samą pętlę znaleziono na kościach odkrytych w Tarnowie.

Badania DNA oraz dokumentacja medyczna potwierdziły ostatecznie tożsamość ofiary. W końcu lutego 2001 roku wydano postanowienie o podjęciu na nowo umorzonego śledztwa, ale 1 marca umorzono je ponownie z powodu niestwierdzenia przestępstwa. Rok później, 24 stycznia 2002 roku, sprawę przejmuje krakowskie „Archiwum X”. Policjanci zamierzali sprawdzić, czy zaginięcie Justyny B. to – używając fachowej terminologii – zdarzenie mieszczące się w kryminologicznej kategorii „ciemnej liczby zabójstw”, związane z błędną kwalifikacją czynu.

– Decydujące w tej sprawie było to, że szczątki Justyny B. zostały przez kogoś ukryte celowo – mówi Bogdan. – Zaczęliśmy od ponownego przyjrzenia się życiu zaginionej, jej otoczeniu, od sprawdzenia, co zapamiętali najbliżsi. To zawsze jest układanie historii czyjś życia z kawałków, które nie zawsze do siebie pasują.

– To była mordercza praca – dorzuca Mariusz. – Dla nas wiele rzeczy było oczywistych, ale musieliśmy to przekonać „przekuć w dowody”. Poza analizą dokumentów były to wielogodzinne prze-

słuchania świadków. Okazało się, że ludzie zapamiętali całkiem sporo znaczących drobiazgów.

Uwagę policjantów z „Archiwum X” zwróciła krótka notatka urzędowa z rozmowy z matką zaginionej Justyny B., Cecylią, dotycząca pierwszych dni po tajemniczym zniknięciu kobiety. Matka Justyny B. zeznała, że była winna córce pieniądze. Kiedy otrzymała rentę, poszła oddać dług. Ale w środę, 4 października 1995 roku, nikogo w mieszkaniu córki nie zastała. Przyszła więc następnego dnia. Dowiedziała się wtedy od konkubenta Justyny, Andrzeja Z., że jej córka wyszła z domu trzy dni wcześniej i do tej pory nie wróciła. Andrzej był nawet zdziwiony, że Justyna nie zabrała ze sobą dowodu osobistego, który jej konkubent znalazł na kredensie. Andrzej pokazał dowód matce zaginionej, wspominał też, że szuka Justyny „po znajomych” i jeżeli jej nie znajdzie, to zawiadomi o zaginięciu policję. Tak też się stało.

Z zeznań matki wynikało, że Justyna B. była związana w przeszłości z wieloma mężczyznami i prowadziła tryb życia, którego matka nie akceptowała. Justyna nadużywała alkoholu i czasami przychodziła do matki pijana. W ostatnich kilku latach przed zaginięciem Justyna żyła z Andrzejem Z. Między Justyną a jej konkubentem dochodziło do awantur. Jednak matka zaginionej kobiety twierdziła, że nie były one na tyle poważne, by ją zaniepokoić, a ona „nie wnikała w życie osobiste córki”.

Policjanci z „Archiwum X” zwrócili uwagę na jeszcze jeden szczegół. Kilka dni po rozmowie z Andrzejem Z. matka zaginionej Justyny ponownie odwiedziła mieszkanie córki. Andrzej powiedział jej wtedy, że z kredensu w kuchni zniknął dowód osobisty Justyny. Mogło to oznaczać, że kobieta żyje i wróciła po dokument. Cecylia B. już nigdy więcej nie poszła do mieszkania córki, za to kilka razy odwiedził ją Andrzej. Twierdził, że poza dowodem osobistym z mieszkania znikają rzeczy Justyny. Wszystko wskazywało na to, że Justyna B. postanowiła zacząć nowe życie, być może z nowym mężczyzną, w innym mieście, nie informując o tym ani matki, ani konkubenta.

Ale co innego w sprawie Justyny B. było bardziej podejrzane. Sekcja szczątków nie wykazała mechanizmu śmierci, ale zwłoki były przecież ukryte pod ziemią.

– To trochę tak, jakby sprawca usiłował mnie przekonać, że ofiara sama się zakopła – mówi Bogdan. – W przypadku Justyny B. sekcja niczego nie wykazała i dlatego zgodnie z prawem śledztwo było umarzane przez prokuraturę z powodu braku cech przestępstwa. We wniosku o wznowienie śledztwa zwróciliśmy uwagę na te elementy, które do tej pory umykały prokuraturze. Ukrycie zwłok Justyny B. było dla nas dowodem, że padła ona ofiarą zabójstwa. Należało więc znaleźć zabójcę. Na tym etapie śledztwa musieliśmy „wejść w rolę sprawcy”, żeby